

## Kochański Krzysztof

### Vampir

Z „Science Fiction” nr 14 – kwiecień 2002

Uliczka była cicha. Nieuczęszczana. Mario Iglesjas stał naprzeciw młodej kobiety, obie ręce zaciskając silnie na jej wątych ramionach. Odciągniętym kciukiem gładził opaloną szyję. Brutalnie. Pozostawiając na skórze zaczerwieniony ślad.

Kobieta podejmowała daremne próby wyrwania się z uścisku. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu i choć uciekała spojrzeniem w bok, jej oczy wciąż powracały, wbrew woli, do wypłowiiałych tęczówek dręczyciela. Mario Iglesjas zwlekał, obdarowując się tą chwilą, podczas której przerażenie gasiło życie kulającej się przed nim kobiety. Kilka minut rozkoszy dla niego, kilka minut cierpienia dla niej.

Zresztą, co naprawdę jest cierpieniem?

Nie mogąc już dłużej powstrzymać łaknienia, wbił zęby w wyprężoną szyję, w miejsce, które wcześniej wyszukał kciukiem. Niegdyś, dawno temu, gdy robił to po raz pierwszy, spodziewał się krztuszącego smaku krwi, agonalnych drgawek ofiary i wszystkich tych innych rzeczy, które zakodowało w umyśle człowieka kulturowe dziedzictwo. Teraz wiedział, że nie tędy wiedzie jego droga. Nie przez krew.

Ale pozostała ekstaza.

Kobieta zniknęła, jak dobra wróżka z bajki. Otoczona rojem migających gwiazd; w srebrze i złocie ulotnych serpentyn, delikatnych śniegowych płatków. Wciąż trzymał ręce na wysokości jej ramion, ale w dłoniach miał pustkę, palce nie znajdowały oparcia. Sukienka wisiała przez chwilę w powietrzu, jakby wciąż jeszcze okrywała swą właścicielkę; nagle zmarszczyła się i spłynęła z wiatrem na chodnik. Z wnętrza wysunął się śnieżnobiały stanik, wciąż zapięty. Szelest odzieży i delikatny brzęk toczącej się bransoletki były jedynymi dźwiękami, jakie rozeszły się w powietrzu.

Mario Iglesjas odsunął się i odetchnął, długo nabierając powietrza w płuca, aż zakłuło go coś pod mostkiem. Krótki, ostry ból przywracający harmonię umysłu. Jeśli na wargach miał krew, to może kroplę czy dwie. Nigdy nie zdążyło wysączyć się więcej z ciała, które zabierał. Mario zawsze był precyzyjny. Wyjął z kieszeni plastikowy worek i pozbierał do niego ubranie i biżuterię. Te przedmioty pochodziły stąd i można je było zniszczyć zwyczajnie. Wyprostował się i rozejrzał. Nikogo nie było. Nikt nic nie widział. Tak powinno być.

Odchodząc, nawet nie obejrzał się za siebie, gdzie w powietrzu wciąż wisiała ulotna mgiełka. Miała tam pozostać długo, bardzo długo, być może na zawsze. Niczym potępiona na wieki dusza. Amen. Dotykając ręką policzka, nieoczekiwanie poczuł pod palcami mokry ślad. Łza.

Nie po raz pierwszy się wzruszył i pewnie nie ostatni. Było tak przyjemnie.

\* \* \*

Mario Iglesjas. Trzydzieści siedem lat, przeciętna aparycja, ubiór nie wyróżniający z otoczenia. Spacerował ulicami miasta i przyglądał się ludziom. Na tym polegała jego praca.

Oczywiście nie tylko na tym.

Chodził i patrzył w twarze mijanych ludzi. Każdego dnia. Chodził i patrzył. Był jak fotograf i fotograficzny aparat razem wzięte.

*Ciach!*

I jest anfas.

Anfas, wchłaniany przez uważne źrenice Iglesjasa, wędrował do mózgu, wskakując w setki tysięcy matryc, wyselekcjonowanych najpierw spośród milionów innych. Przeważnie anfas zatrzymywał się, przystając do któregoś wzorca, lecz czasem, niezmiernie rzadko, przelatował niczym woda przez sito i wtedy zaczynała się ciekawsza część roboty. Zdecydowanie przyjemniejsza.

Najpierw należało sprawdzić, czy z całą pewnością chodzi o Obcego. Iglesjasowi nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby analiza matryc okazała się błędna, ale taka była procedura. Pewność, że wyselekcjonowany osobnik rzeczywiście jest podrobiony, musiała być stuprocentowa. Przeważnie wystarczała zwykła rozmowa; Obcy z reguły doskonale orientował się, kim jest, choć, dawno temu niejaki Decray poinformował Maria, że może być inaczej.

Likwidacja Obcego, dyskretna, w ustronnym miejscu, kończyła temat. A matryce dalej trzaskały w głowie, niczym listwy tkackiej maszyny.

Ale spotkanie z Obcym zdarzało się tak rzadko, że czasami Iglesjas zaczynał wątpić czy to jego wspomnienia, czy też tylko sztuczka, sposób, aby uczynić jego działanie skuteczniejszym. Bo z reguły wałęsał się po mieście niczym kloszard, z rutynową obojętnością zaglądając w twarze przechodniów. I nie sposób było odgadnąć, jakiego rodzaju warsztat pracuje w jego głowie.

*Mężczyzna - ciach! Następny, ciach! Kobieta - ciach.*

Czasami, tak jak dzisiaj, siadał w jakiejś kafejce, i popijając kawę, skanował ludzi zza okien. Nie szkodzi, że szyby czasem były brudne, matryce nie z taką jakością obrazu radziły sobie bez trudu.

*Następny proszę - ciach!*

I nic. Było jak zazwyczaj. Nie jak w wątpliwej jakości wspomnieniach.

*Ciach!*

A jednak coś się dzieje!

Iglesjas zastygł w pół ruchu, z ręką trzymającą filiżankę z kawą tuż przy ustach. Gorący ciemnobrązowy płyn pociekł mu po brodzie, ale on nie zwrócił na to uwagi.

Patrzył na małego chłopca, przebiegającego przez plac. Liczne gołębie, godzinami okupujące to miejsce, leniwie odfruwaly spod jego nóg. Anfas chłopca przeniknął matryce i legalność osoby została potwierdzona. Nie był Obcym. Wszystko było niby w porządku. Niby.

*SKIP-. Replay!*

*Wiek 5.05-5.55 . Klasa otwarta, czaszka zero, oczy niebieskie, pigment Q5, włosy 0.09, skóra... RETURN. Dość!*

Pod względem legalności wszystko pasowało. Chłopiec nie był Obcym, skoro jego anfas w siedem setnych sekundy odnalazł swój wzorzec. Można by przejść nad tym do porządku dziennego, gdyby nie pewien drobiazg: Mario pamiętał szczeniaka. Pamiętał go zwyczajną, ludzką pamięcią. Nie jakimś cholernym matrycowym analizatorem skaningu, ale swoim własnym, człowieczym umysłem.

Dziecko łatwo zapamiętać. W całym mieście było ich może z tuzin, więc nie mógł się mylić. On, wieczny obserwator, mylić się? Bzdura! Widział chłopaka nie dalej jak pięć dni temu, na tym samym placu. Nawet szedł w tę samą stronę.

Nie. Nie mylił się.

Ale pamięć stała przechowywała anfasy przynajmniej przez dwa tygodnie - czasem dłużej, jeśli nie była przepełniona - do celów wstępnego filtrowania skaningu. W praktyce oznaczało to, że twarze, które oglądał po raz wtóry, nim minęło czternaście dni, nie były w ogóle analizowane. Ich podobizny nie przechodziły przez matryce, oszczędzając czas i zabezpieczając bufory przed przeładowaniem.

Jakim więc cudem ten anfas znalazł się w zasięgu matryc? - Coś tu jest do kitu - mruknął zniecierpliwiony Mario Iglesjas.

Do diabła! Ufał własnej pamięci!

Z drugiej strony, gdyby coś było nie w porządku z analizatorem skaningu, byłoby kiepsko również z nim samym. Analizator skaningu i człowiek Mario Iglesjas to praktycznie jedno i to samo.

Zdecydowanym ruchem odstawił filiżankę z kawą i wybiegł z kafejki. Kawa była zapłacona. Zawsze płacił rachunki przed konsumpcją. Na wszelki wypadek. Na taki jak teraz.

Chłopiec wchodził na szerokie schody, prowadzące do gmachu kościoła. Od drzwi dzieliło go kilka stopni i Iglesjas nie miał szans, by go dogonić, nim je otworzy. I nawet specjalnie się nie starał. Przecież kościół to nie stóg siana.

Nagle zahaczył o coś butem, potknął się i uderzył boleśnie w kolano. Wylądował na rozpostartych dłoniach. Przez moment tkwił w tej nieoczekiwanej pozycji, nie mogąc zrozumieć, co się stało. Obok leżała młoda dziewczyna. Bardzo ładna. Czarnowłosa niczym Cyganka. Krótka sukienka zadarła się, odstaniając zgrabne nogi aż po majtki.

- Czy pan zwariował!?! - wrzasnęła.

- Tak przypuszczam - odparł z humorem i wstał. Podał jej rękę, ale nie skorzystała z pomocy. Syknęła niecierpliwie, że sama sobie poradzi. Strzepnęła sukienkę.

- Przepraszam, nie zauważyłem pani - podjął, lecz ona już się odwróciła, podniosła leżącą obok torebkę i zbiegła po schodach. Jej twarz Iglesjas miał zapamiętać na długo, o wiele dłużej niż te ułamki sekund, gdy jej anfas przelatywał przez matryce, swobodnie, jak spadająca z nieba gwiazda, by w końcu na którymś z wzorców potwierdzić swoją legalność.

\* \* \*

Leżał na kanapie, w mieszkaniu znajdującym się na dwudziestym trzecim piętrze punktowca, położonego w samym sercu miasta. W budynku było bez liku komfortowo wyposażonych apartamentów, lecz zaledwie kilkanaście z nich miało lokatorów. Na swoim piętrze Mario Iglesias był jedynym mieszkańcem. Nie było chętnych. Choć można spojrzeć na to również z innej strony: tych kilkunastu chętnych uzasadniało fakt istnienia punktowca.

Nie spał. Nigdy nie spał. Z jego softwaru wyeliminowano sen, zmęczenie i tym podobne balasty. Zawsze był rześki, gotów do działania. Zawszę taki sam. Miał to, czego skąpiono innym, co niektórzy zdobywali magicznymi ścieżkami i za co - prędzej czy później - płacili szaleństwem. Żeby być człowiekiem, trzeba jak człowiek żyć. Dlatego czasem myślał, że nim nie jest. Że tylko go zewnętrznie przypomina, przyobleczoney softwarową mimikrą. Bo jego umysł doskonale bronił się przed paranoicznymi syndromami, wcale nie pogrążał się w nicości, jak to działo się z tymi, którzy usiłowali ominąć człowieczeństwo. On, Mario, nie tracił osobowości, choć żył i działał jak maszyna, i w dodatku doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Rzadko zaprzętał sobie głowę tego rodzaju rozważaniami. Ale teraz miał problem. Nie mógł zrozumieć, jak tamten chłopiec mógł mu się wymknąć?

Wymknął się, bo Mario Iglesias nie potrafił wejść do kościoła. Stał przed otwartym skrzydłem masywnych, dębowych drzwi, surowo rzeźbionych i ciemnych ze starości, niezdolny do jednego, jedyne kroku w przód. Absurd, niewyobrażalny absurd! Niewidzialna przeszkoda była nie do pokonania. Dla kogoś z zewnątrz musiał wyglądać jak epileptyk, miotający się w ataku choroby. Z równym powodzeniem mógłby próbować wzbic się w powietrze i polecieć razem z gołębiami.

Szukał innego wejścia - nie znalazł. To do zakrystii musiało znajdować się wewnątrz. Zatem czekał. Bardzo długo. Do końca dnia i prawie całą noc. W międzyczasie kilkakrotnie jeszcze usiłował przekroczyć próg kościoła. Bez rezultatu. Bez rezultatu pozostało również jego oczekiwanie, gdyż chłopiec nie wyszedł. Mógł wyskoczyć oknem, ale - do cholery! - odczyt wskazał, że gnojek ma pięć lat, wyglądał zresztą na tyle; jak taki malec może nagle wyfrunąć przez okno? I po co? Po co?

Matryce nie zgłaszały zastrzeżeń. Według reguł wszystko było w najlepszym porządku. Na dobrą sprawę chłopiec nie powinien go interesować. Jakiś bufor pamięci puszcza lipę na matryce i co z tego? Co go to w ogóle obchodzi? Jego zadanie polega na wyszukiwaniu Obcych, ten malec Obcym nie był, czyż nie tak? Tak!

A jednak obchodziło.

Może nie na tyle, by tkwić przed kościołem do końca świata, wystarczająco mocno jednak, by rozmyślać o tym w czasie przeznaczonym na nudę, w swoim mieszkaniu na dwudziestym trzecim piętrze przeszklonego wieżowca.

W pewnej chwili Iglesias wstał z kanapy, tknięty nagłą myślą. Podszedł do narożnika pokoju, pozbawionego mebli fragmentu podłogi o powierzchni czterech metrów kwadratowych. Pole zasięgu Przeglądarki. Projektora zdarzeń. Częstki magii tego świata. Bezpośrednio połączył się z portem Sieci, podał hasło, swój numer identyfikacyjny i zażądał transmisji zdarzenia, określając godzinę na - jeśli dobrze pamiętał - tuż po osiemnastej.

Obecnie była czwarta rano. Stracił mnóstwo czasu, zaczajony przed kościołem. Mimo wszystko miał nadzieję, że Sieć nie zdążyła spakować fragmentu, na którym mu zależało.

Nie zdążyła. Przekaz był wierny.

*Chłopiec wchodzi na szerokie schody, prowadzące do kościoła. Od drzwi dzieli go kilka stopni.*

*Trzask, ciemna czeluść wchłania...*

*Świat tańczy. Na stopniach szeroko rozpostarte dłonie. Jego własne.*

*- Czy pan zwariował!?*

*Krótką sukienkę dziewczyny zadziera się, odstaniając zgrabne nogi aż po majtki.*

*- Tak przypuszczam. STOP! SKIP-*

Iglesjas raz jeszcze przyglądał się scenie. To nie były wspomnienia, które zniekształcić może ułomna pamięć, lecz fakty. Rejestracja z kamery, którą stanowiły jego oczy. Widział wszystko, co miał wtedy w zasięgu wzroku, nawet szczegóły normalnie umykające uwadze.

To nie przez przypadek zderzył się z dziewczyną. Pojawiła się nagle, z prawej strony, i zahaczyła go nogą. Sztubacki chwyt. A potem szybko położyła się na stopniach, w dodatku celowo unosząc rąbek i tak już krótkiej sukienki.

Zaraz! Niecierpliwie zamknęła torebkę. To nie mógł być odruch. Chowała coś?

*- Czy pan zwariował?*

Iglesjas cofnął zapis. Dał szersze pole widzenia, chociaż obraz stał się przez to mniej wyraźny. Biegnie przez plac. Chłopiec wchodzi na schody. Dziewczyna? Jest! Stoi przy balustradzie, wyraźnie obserwuje szczeniaka.

Zrozumiał. Asekurowała go. Pilnowała gnojka. I trzeba przyznać, że bardzo umiejętnie.

*Tak przypuszczam*

\* \* \*

Sieć przypomniała Iglesiasowi, że dzisiaj jest niedziela. Pora do trumny. Nie lubił tego, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kiedyś z niej nie wyjdzie. Oczywiście to tylko idiotyczna fobia.

\* \* \*

*Jest!*

Kafejka. Za zabrudzoną szybą plac. Kawa na wargach Mario Iglesiasa. Oczywiście zapłacona.

Przez plac z rzadka przechodzili ludzie, gołębi było zdecydowanie więcej, jakby to one były tu gospodarzami, a dwunożne istoty jedynie atrakcyjnym dodatkiem. Przez cały ten czas - a minęło kilka godzin - do kościoła weszły zaledwie dwie osoby, w tym ksiądz, o którym można by pomyśleć, że nikomu nie jest specjalnie potrzebny, ale Iglesias doskonale wiedział, że to nieprawda. Po trosze było tak, jak z pustostanami w wieżowcu, w którym mieszkał. Wszystko komuś jest do czegoś potrzebne. Wszystko. W dodatku kościół to coś znacznie więcej niż tylko budynek.

- No, to teraz pogadamy. Wiedziałem, że przyjdiesz, chłopcze - mruknął do siebie.

Piąty dzień czekał na tę chwilę i oto jest! Wspaniały widok i wspaniały odczyt z matrycy: *Wiek 5.05-5.55. Klasa otwarta, czaszka zero, oczy niebieskie, pigment Q5...* Ten sam odczyt, nie zatrzymany w buforze wstępnym. Ten sam anfas, docierający do swego matrycowego wzorca.

Ten sam chłopiec.

I równocześnie nie ten sam, skoro ponownie został dopuszczony do weryfikacji, jak ktoś zupełnie nowy, albo przynajmniej sprzed więcej niż czterestu dni. Bez sensu. Tak jakbyś spoglądając na coś prawym okiem widział konia, a lewym krowę. Oczywiście, że bez sensu. To niewesołe, gdy człowiekowi przytrafiają się takie historie.

Tak jak przypuszczał, dziewczyna wyszła z kościoła dokładnie w chwili pojawienia się chłopca, musiała obserwować plac przez któryś z witraży, stanowiących jednocześnie doskonałą osłonę. Stara znajoma w seksownej mini-spódniczce. Damski ochroniarz, potrafiący na odległość zwalić człowieka z nóg. Iglesias widział ją, gdy wchodziła do środka już ze dwie godziny temu i zaczynał zastanawiać się, czy kościół przypadkiem nie pochłania ludzi, niczym jakiś gigantyczny potwór.

Oparła się o balustradę i obserwowała nadchodzącego malca. Troskliwa opiekunka. Ciekawe, czy tym razem potrafisz być równie skuteczna, panienko!

Poderwał się od stolika i wypadł z kafejki. Biegł, nie zamierzając się maskować. To tylko pięcioletni szczeniak i podłotek, cóż mogą wskórać?

Dostrzegła go i rozpoznała. Widział to w jej oczach, szeroko rozwartych, nagle przestraszonych. Dopadł chłopca i w locie zgarmał go ręką. Trzymał pod pachą, jak pakunek.

- Nie ruszaj się! - krzyknął do dziewczyny. Wciąż patrzył w jej oczy i naraz zorientował się, że wcale nie widzi w nich strachu, lecz gniew. Dziką, niecierpliwą wściekłość. Jeszcze nie rozumiał, jak bezsensowny był jego okrzyk.

Jednym ruchem otworzyła torebkę, a to, co dostrzegł w środku, sprawiło, iż wszystko inne straciło na znaczeniu. Zapomniał, że trzyma chłopca. Zapomniał o całym świecie.

Srebrna kula.

To dziwne, że widział tę kulę. Wielkości grochu, leżała w ciemnym zagłębieniu. Obnażył zęby; nie po to, żeby walczyć - nie mogło być mowy, by zdążył - ale nie mógł oprzeć się odruchowi sprawdzenia, czy wciąż panuje nad transformacją kłów. Były tam, gdzie zawsze. Musiały być.

Kula błysnęła i w tej samej chwili poczuł ból w sercu. Pocisk trafił precyzyjnie.

Znikał wśród migoczących złotem i srebrem iskier. Jak roślina gwałtownie wyrwana z barwnego podłoża, w fontannie kolorowych grudek. Jeśli ktoś w chwili śmierci ogląda całe swoje życie, musi mieć umysł działający z szybkością milionów geniuszy, lub potrafi uczynić z czasem coś, co normalnie jest nieosiągalne. Mario do takich ludzi nie należał, ale to nie znaczy, że metafizyczny projektor nic mu nie zaferował. Owszem. Zaferował pewne chwile przed śmiercią,

Tę pierwszą.

\* \* \*

W agonalnym kinie prezentowano film z przeszłości, z odległego o nieskończoność wszechświata, który wszak Mario Iglesias uważał za rzeczywisty. Film o spotkaniu z człowiekiem o nazwisku Decray, przedstawicielem Towarzystwa Asekuracyjnego.

- Naszą specjalnością są ubezpieczenia na życie - powiedział Decray.

Słowa te zabrzmiały dość dziwacznie, jeśli zważyć, iż pomieszczenie, w którym przebywał wtedy Mario, było celą śmierci - jego celą. Czekał w niej na wykonanie wyroku, mające nastąpić za niespełna dwie godziny.

- Jestem wiceprezesem firmy i od lat nie kontaktowałem się z klientami - kontynuował Decray. Dystyngowanie. Nie speszony wrogością spojrzenia. - Lecz do pana pofatygowałem się osobiście, może to będzie gwarancją moich intencji.

- Trochę jakby się pan spóźnił... - ponuro stwierdził Mario. Na śmierć skazano go za wielokrotne morderstwa. Zbrodnie wyjątkowo odrażające. Dziesięcioletnia dziewczynka, najpierw wykorzystana seksualnie, tylko otwierała tę listę.

Decray spojrzął na zegarek i patrząc wyzywająco w oczy swemu rozmówcy, powiedział: - Mają cię powiesić dopiero za jakieś dwie godziny.

Mario nie spuścił wzroku. Był spokojny. Dwa dni wcześniej dostał ataku szału, tłukł głową o ściany, porozbijał dłonie o żelazne kraty, ale to już minęło. Odeszło w przeszłość, jak wkrótce odejść miało wszystko. Cały świat.

- Brr... - wydał nagle z siebie głośny warkot i zatrząsł się, jak od zimna. Jego oczy rozszerzyły się dziko, a potem niespodziewanie błysnął w nich ogień wesołości, gdy Mario zauważył, że Decray odsunął się odruchowo, jeśli nie wystraszony, to z pewnością zaskoczony.

Przez blisko minutę siedzieli milcząc naprzeciw siebie, skazaniec na swojej przyczynie, Decray na jedynym krześle, na stałe przytwierdzonym do podłogi, aż stojący przy drzwiach celi strażnik zaczął się niecierpliwić i przesunął pałką po prętach krat, przypominając o swoim istnieniu.

- Bardzo chcę się dowiedzieć, czy chcesz żyć, Mario - odezwał się w końcu Decray.

- Jasne - odparł Mario swoim ochrypłym, zniszczonym przez alkohol głosem. - A pan, panie Decray?

- I owszem. Ale ja żyję i prawdopodobnie jeszcze przez wiele lat nie mam się o co martwić, natomiast co do ciebie...

- Czy wyglądam na zmartwionego?

- Nie. I trochę mnie to smuci, gdyż zastanawiam się, czy przypadkiem nie jesteś idiotą.

Słowa były nieoczekiwanie zaczepne, zupełnie nie pasujące do tonu głosu Decraya; przez chwilę wydawało się, że Mario rzuci się na niego z zamiarem dołączenia kolejnej ofiary do swojej listy. Strażnik, który wszystko słyszał, był o tym tak przekonany, że rutynowo ścisnął w rękę pałkę i przyskoczył do więźnia, gdy niespodziewanie Iglesias powstrzymał go, podnosząc na wysokość piersi szeroko rozpostarte dłonie. Pozostając w tej pozycji, odwrócił się powoli w stronę Decraya.

- Myślę, że doskonale pan wie, kim jestem - powiedział. - Dlatego mów pan, czego chcesz, albo spierdalaj!

I Decray powiedział mu. Firma nazywała się D.L.NET. Zarządzała Siecią. Światem poza Światem.

- Chcę, żebyś został obywatelem tego edenu - rzekł Decray.

Do rzeczywistości D.L.NET trafiali ludzie po swojej śmierci. Ci, którzy za niebotyczne pieniądze opłacili swoje ubezpieczenie. Prawdziwe ubezpieczenie na życie.

Albo tylko tak to wyglądało, że tam trafiają. Nie było możliwości sprawdzenia tego: komunikacja z tamtą rzeczywistością nie była możliwa, przynajmniej na obecnym etapie informatycznej technologii. Pozostawała wiara w potęgę teorii, wszechmoc algorytmów i geniusz programistów.

Wiara jest dość mocną stroną ludzi.

- A w zamian? - zapytał Mario.

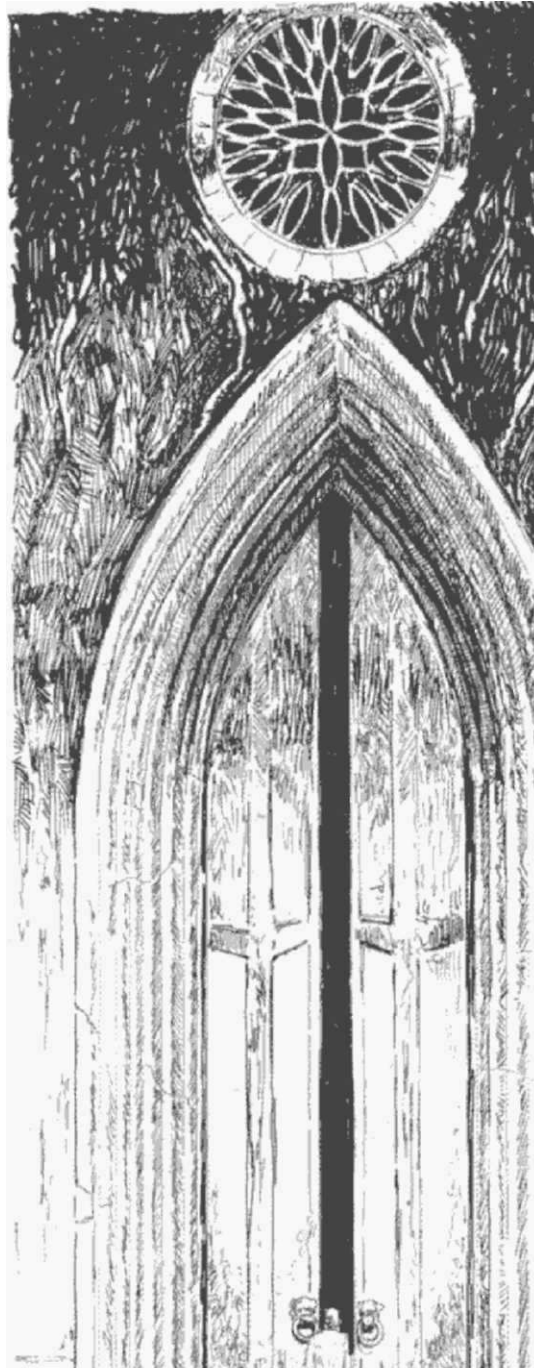
- Proszę?

- Czego oczekujecie w zamian? Przecież to oczywiste, że nie funduje mi pan tej przyjemności z czystej sympatii.

Zdarzają się włamania - wyjaśnił Decray. Sieć jest rozległa, zatrudniamy tysiące ludzi i czasem nie sposób nad wszystkim zapanować. Zdarza się, że jacyś nawiedzeni hakerzy wprowadzają nielegalne osobowości. Zawsze wykrywamy próbę wtargnięcia, ale już w kilku przypadkach interweniowaliśmy zbyt

późno. Rzecz w tym, że po wprowadzeniu pełnego softwaru nie ma możliwości dalszej jego kontroli. Tracimy kontakt, nie wiemy co się z nim dzieje. Takie osobowości nazywamy Obcymi.

- Nie chcecie ich - podsumował Mario. Powieki miał przymknięte, wąskie szparki ukrywały spojrzenie.
- Są nielegalne. Nikt nigdy nie zapłacił ani centa za ich pobyt w Sieci.
- Ach! - Mario wstał ze swojej pryczy. - Mam pozabijać skurwysynów!
- Decray wstał również.
- Wygumkować! - rzekł z naciskiem. - Osobiście wolę to miłe słowo, wymyślone kiedyś przez jednego



z naszych informatyków.

Wtedy na pokrytej kilkuniedniowym zarostem twarzy Mario Iglesjasa pojawił się uśmiech. Pozostał tam niemal do końca rozmowy, niezmienny, nieruchomy, jak namalowany sino-czerwoną szminką.

- Nie będę pytał, dlaczego wybraliście właśnie mnie, bo rzeczywiście nabierze pan przekonania, że jestem idiotą. Ale o coś jednak zapytam: nie boicie się, że taki wampir może w tej waszej Sieci niezłe narozrabiać?

Decray pochylił się nad jego uchem i rzekł powoli, teatralnym szeptem:

- Powiem ci w tajemnicy... Boimy się. - A potem odchylił się do tyłu i opadł z jakąś niezrozumiałą ulgą na swoje krzesło. - Ale oficjalnie nie boimy się. Wcałe a wcałe.

Najwyraźniej dobrze się bawił. Mario powrócił na swoją pryczę. Zastanawiał się, a Decray milczał, nie zamierzając mu przeszkadzać.

- To nie będę ja - rzekł Mario z pewnością w głosie. - Nie całkiem. Coś ze mną zrobicie, to jasne, że nie wpuścicie mnie takiego, jaki jestem.

- To będziesz ty. Nam jest potrzebny Mario Iglesjas, a nie człowiek z ulicy, czyż nie tak? Owszem, mamy zamiar zmodyfikować nieco twój software. Tylko trochę. Właśnie dla gwarancji lojalności wobec twego nowego boga.

- Wobec D.L.NETu.

- Wobec Sieci. Zapewniam cię jednak, że to wciąż będziesz ty. Któż by inny?

- Często to robicie?

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło Decraya.

- Pytasz, czy ktoś taki jak ty przebywa już w Sieci? Nie.

- Dzięki za odpowiedź, ale dobrze wiesz, że nie o to pytam. Chodzi o to, co nazwałeś moim softwarem.

Czy często robicie zmiany, o których wspomniałeś, Grzebiecie w człowieku?

Minęła dłuższa chwila, nim Decray zdecydował się na odpowiedź:

- Nigdy. Ale nasi specjaliści twierdzą, że to możliwe...

- Kłamiesz.

- Że nasi specjaliści tak twierdzą?

- Nie. Że nigdy tego nie robicie.

- Skąd, do diabła, możesz o tym wiedzieć?

Na moment wąskie szparki powiek Iglesjasa rozszerzyły się.

- To proste - rzekł. - Poznałem po twoich oczach. Jedna z dziewczynek, które zabiłem, błagała mnie, żebym ją wypuścił. Przysięgała, że nikomu o mnie nie powie. Nikomu. Nigdy. Miała w oczach to samo co ty.

- I co?

- Nie żyje.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, czy wiecie, jaki będzie skutek. Kim będę naprawdę?

Decray milczał. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Nie była potrzebna. Ryba wisiała już na haczyku, zacięta tak pewnie, jak tylko to było możliwe.

W końcu zamilkł i Mario, dla którego raptem te półtorej godziny, które pozostało mu na świecie, odpłynęło gdzieś w nicość, jak koszmar, który pryska, gdy otworzysz oczy na światło dnia.

A potem się zgodził.

Nie wiedział jeszcze, że wyrok śmierci na nim zostanie wykonany dopiero miesiąc później. Tyle mniej więcej czasu potrzebowało ośmiuset czterdziestu wykwalifikowanych programistów D.L.NETu, wspomnianych setkami tysięcy gotowych bibliotek, na przygotowanie pełnego osobniczego softwaru.

\* \* \*

Na prowadzących do kościoła schodach leżało ubranie Mario Iglesjasa, rzucone niczym łachman. Wypuszczony spod ramienia Maria chłopiec toczył się bezwładnie w dół po kamiennych stopniach, wśród krzyków nadbiegających ludzi i własnych pisków.

Czarnowłosa Cyganka, piękna jak dzieło genialnego artysty, śpieszyła mu z pomocą.

\* \* \*

Wyszedł z trumny:

Położył się na swej ulubionej kanapie. Sen i zmęczenie nie dla niego, ale co lubił, to lubił. I wtedy zobaczył klosz. Pięknie zdobiony klosz nocnej lampki, stojącej na stoliku. Tej lampki nie powinno tu być. Zawsze stała w sypialni. Owszem, niedawno myślał o tym, żeby ją przestawić, wieczorami byłaby bardziej potrzebna tutaj, ale nigdy tego nie zrobił.

Jeszcze nie wierzył, dopóki nie zauważył, że i inne drobne przedmioty, zmieniły miejsce. Powoli, bardzo powoli, jakby chciał, żeby ta chwila trwała wiecznie, odwracał głowę w kierunku kalendarza, ale nawet kiedy jego oczy rejestrowały już datę, wciąż czuł się widzem jakiegoś filmu. Wiele dałby, żeby być tylko widzem. Według kalendarza był piątek. A to oznaczało, że naprawdę był piątek. Kalendarz był częścią Sieci, nie mógł wskazywać błędnie. Ale Mario wchodził do trumny wyłącznie w niedziele, a ponieważ na wykonanie pełnej archiwizacji Sieć potrzebuje około czterdziestu minut, najwyżej godzinę - również w niedziele z niej wychodził.

Dzisiaj natomiast był piątek. Nie niedziela, jak w dodatku doskonale pamiętał. Jak mógłby przysiąc. Pamiętał nieprawdę.

Oznaczać to mogło tylko jedno: że trumna zadziałała transmisją dosięciową. Wskazywała na to również data. Tak jak niedziela jest dniem kopiowania, tak piątek dniem odtwarzania-jeśli wzorzec zniknie z Sieci. Poczuł się nieswojo. Subiektywne cofnięcie czasowe nie stanowiło problemu. Problemem była świadomość własnej śmierci. Bo musiał umrzeć, skoro Sieć skorzystała z trumny i odtworzyła zarchiwizowane tam miliardy megabajtów.

Odtworzyła Mario Iglesjasa. Kopię sprzed pięciu dni.

- Jak umarłem?

Dowiedział się tego. Zobaczył własną śmierć w Przeglądarce, której pełna pojemność wynosiła dziesięć godzin wstecz. Aż nadto. Cząstka przyszłości/przeszłości, którą można odzyskać.

Niezwykłe to uczucie oglądać świat, który znasz doskonale, miejsca odwiedzane codziennie, ludzi, z którymi rozmawiasz - i nie utożsamiać się z tym. Wspomnienia, które nigdy nie miały miejsca. I słowa. Te, które wypowiadałeś, i które jednocześnie nigdy z twoich ust nie padły. Jak trudno uwierzyć, że to prawda. Wierzyć, że jest się tym samym człowiekiem.

Nie opuścił ani minuty, chłonał obraz za obrazem, i gdy do końca pozostał kwadrans, a tamten Iglesjas wciąż tkwił przy kolejnej filiżance kawy, wpatrzony w kościelne schody, zaczął domyślać się dalszego ciągu.

Nabrał pewności na widok pewnej młodej damy z wypchaną torebką na ramieniu, wychodzącej na spotkanie chłopcu w wieku lat pięciu.

Domyślił się wszystkiego, nim padły ostatnie słowa: - *Nie ruszaj się!*

Gniew w oczach dziewczyny. Otwarta torebka i błysk srebra.

Niemal czuł własny język, na próżno szorujący po kłach górnej szczęki.

\* \* \*

- Potrzebujesz pomocy?

Ksiądz ubrany był w czarną sutannę, tak długą, że w dole ledwie wystawały błyszczące czubki starannie wypastowanych butów. Wyłonił się z bocznej nawy niczym duch, zapewne obserwował Mario Iglesjasa już wcześniej, lecz ten nie zauważył tego, zaaferowany ponowną próbą sforsowania drzwi do kościoła. Ponowną, nieudaną próbą. Nosił w sobie cień nadziei, że tamto wspomnienie było niewiarygodnym przekłamaniami. A może absurdalnie łudził się, iż to wszystko dotyczyło poprzedniego Iglesjasa. Nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek miał problemy z dotarciem w jakiegokolwiek miejsce świata Sieci, nie potrafił nawet wyobrazić sobie powodu, dla którego miałoby tak być.

Musiał spróbować raz jeszcze. Wiedział, że będzie próbował zawsze, za każdym razem, gdy znajdzie się w pobliżu kościoła, aż wreszcie mu się uda, lub dopóki nie znajdzie jakiegoś wytłumaczenia tej bezsensownej zagadki.

- Potrzebujesz pomocy?

Poczuł się idiotycznie - tak, jak musiał zapewne wyglądać, szamocząc się przed wejściem.

- Potrzebuję - odparł z niespodziewaną szczerością. - Nie mogę tu wejść.

- Ależ możesz. Wystarczy przekroczyć próg. - Ksiądz nie uśmiechał się i to spodobało się Iglesjasowi.

- To dla mnie zbyt trudne. Niewykonalne - dodał, z pewnym zdziwieniem stwierdzając, iż czuje się zmieszany. Zdawał sobie sprawę z dwuznaczności swoich słów, z tego, jak musi odbierać je jego rozmówca, ale nie potrafił inaczej. Przynajmniej w tej chwili.

Ksiądz wyciągnął rękę, z wyraźnym zamiarem pochycenia jego dłoni, ale Iglesjas odsunął się. Zrobił to w jakimś odruchu, bez wyraźnego powodu. Kapłan zamrugał w zakłopotaniu powiekami, ale nie obraził się.

- Kiedy ostatnio byłeś w kościele? - zapytał i postąpił kilka kroków do przodu, z łatwością pokonując próg, który dla Iglesjasa był takim problemem.



- Nigdy. To znaczy, tutaj nigdy. W tamtym życiu, owszem, kiedyś, w dzieciństwie.

Ksiądz pokiwał głową, jakby było co tu rozumieć, ale następne pytanie zadał zupełnie inne, niż Iglesjas mógł się spodziewać:

- Boisz się mnie?

- Nie. Dlaczego miałbym się bać?

- Odsunąłeś się, gdy chciałem cię dotknąć.

Mario nieznacznie wzruszył ramionami.

- Proszę! - Podał rękę. Ksiądz uściśnął ją i tym razem na jego twarzy pojawił się ślad uśmiechu.

- Chodźmy.

- Chodźmy - powtórzył Mario. Nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął wierzyć, że tym razem się uda.

Od drzwi dzieliły ich raptem dwa metry i już przy trzecim kroku Iglesjas wiedział, że nic z tego nie będzie. Ksiądz dowiedział się niemal w tym samym momencie i pewnie dopiero teraz zrozumiał, co miał na myśli ten dziwny mężczyzna, mówiąc, że to dla niego zbyt trudne. Że nie chodziło o żadne duchowe rozterki, lecz najprawdziwszy fizyczny fakt.

Krzyknął przeraźliwie. Wyrwał gwałtownie dłoń i wskoczył do kościoła, swojego azylu. Złapał się za nadgarstek drugą ręką. Wciąż krzyczał, a echo, odbijając się od wysokich ścian, ten krzyk potęgowało. Zdezorientowany Iglesjas z przerażeniem obserwował, jak dłoń, którą ścisnął przed sekundą, robi się najpierw czerwona, a potem czernieje, niczym kartka papieru rzucona na gorący popiół.

- Jezu Chryste! - Oszałały z bólu ksiądz miotał się po kościelnym przedsionku, by wreszcie, tknięty jakimś boskim przecuciem, podbiec do chrzcielnicy. Rozpaczliwym gestem wrzucił w nią obie ręce, opierając się na nich z całych sił, jakby zamierzał skruszyć marmurowe dno. Święcona woda chlusnęła na boki, moczając sutannę. Czy żałował w tej chwili swojej decyzji sprzed lat, gdy wybrał wieczność w tej stworzonej przez ludzi pseudo rzeczywistości, miał trafić do boskiego raj, w który niezłomnie wierzył? Ale: „Kościół musi być z człowiekiem wszędzie. Taka jest jego misja”.

A teraz stał - wsparty o dno chrzcielnicy - i cierpiał, jak nie zdarzyło mu się od dawna, może od zawsze. Jakby nagle samo piekło upomniało się o ten kawałek edenu.

Niespodziewanie ból minął. Kapłan wyjął z wody prawą rękę, ostrożnie, z wahaniem, bojąc się powrotu cierpienia. Jej biel zdumiała go, spowodowała, że na pobladłym obliczu pojawiła się ulga. Przyłożył dłoń do swojej twarzy, jakby wciąż nie mogąc uwierzyć, że jest zupełnie zwyczajna. Że nic się nie stało.

- Kim jesteś? - krzyknął w stronę Iglesjasa.

Cóż miał Mario odpowiedzieć? Patrzył na księdza bez słowa, jakby w ogóle nie słyszał pytania, a potem odwrócił się i szedł po schodach w dół, krocząc powoli, niczym automat. Tylko na chwilę jego wzrok zatrzymał się na powietrznym zawirowaniu, drgających molekułach nad dwoma środkowymi stopniami. Wieczne wspomnienie zagłady softwaru. W pewnym sensie mógł traktować to miejsce jak własny grobowiec.

Przeszedł przez nie i nie poczuł nic. Zupełnie nic.

\* \* \*

Znowu tu był. Minęło wiele dni, a on wciąż wracał, kłaniał się księdzu, gdy udało mu się go spotkać, a ten niezmiennie przyspieszał kroku, dopadając wrót kościoła jak zbawienia. Niejednokrotnie Iglesjas dostrzegał jego bladą twarz w uchylonych drzwiach - obserwował go, pragnąc zapewne wyjść, ale nie potrafił pokonać strachu. Przynajmniej miał jakąś rozrywkę, wyczekując godzinami, już nie w kawiarence, lecz jawnie, na środku placu, wśród polatujących gołębi. Katusze duchownego sprawiały mu przyjemność, której wcale się nie spodziewał. Może kiedyś, w dawnym życiu, byłoby to możliwe, ale tu? Przecież jego software uległ modyfikacjom, tak przynajmniej sugerował Decray. W dodatku im więcej czasu upływało, im więcej przemijało dni, tym przyjemność była większa, wcale nie powszedniała.

Ale nie dlatego wciąż wracał przed kościelny fronton. To jakieś fatum zapętlilo jego życie. Fatum miało czarne włosy, urodę Cyganki i cudownie zgrabne nogi, których nie chowało pod długą spódnicą.

\* \* \*

Nie doczekał się jej przed kościołem. Nieoczekiwanie to ona wykonała pierwszy ruch. Pewnego dnia po prostu odwiedziła go, w mieszkaniu na dalekim piętrze wieżowca.

Iglesjas żył samotnie, samotność mu odpowiadała, była mu potrzebna jak chleb powszedni - tutaj, w świecie D.L.NETu. Dlatego, gdy usłyszał pukanie, nie od razu zareagował, sądząc, że to pogłos z odległego

korytarza. Pukanie powtórzyło się i wtedy zerwał się z tapczanu, na którym leżał, jak zwykle pograżony w samym sobie. Podszedł do drzwi, powoli, wciąż jeszcze nie dowierzając, i wreszcie zapytał: „Kto tam?”. Odpowiedzi nie było. Zaciekawiony chwycił za klamkę.

Nie spodziewał się, że kiedykolwiek w życiu może się czuć tak zaskoczony. Stała w progu, uśmiechnięta szeroko, jak stary przyjaciel przybywający z wizytą; zaprzeczały temu oczy, z których prócz czujności wychylało się coś, co Mario znał z dawnych czasów. Strach. Czarne włosy lśniły, niczym natłuszczone delikatnym olejkiem. Lewą ręką podtrzymywała torebkę. Otwartą. Prawa niecierpliwie głaskała pasek, gotowa w każdej chwili - był tego pewien - zanurzyć się w czeluść torebki.

*Ciach!* Jej anfas zatrzymał się w matrycy, kolejny raz potwierdzając legalność. Opłaciła pozagrobowe życie.

- Więc to naprawdę ty! - Głos miała chropawy, zupełnie inny niż wtedy, na schodach. Bała się, i to strach nie pozwalał na pełny oddech. - Jak to zrobiłeś?

- Jak mnie znalazłeś? - odpowiedział pytaniem.

- Co dzień sterczysz pod kościołem.

- Śledziłeś mnie.

- A miało być odwrotnie, co? Przytaknął:

- Miało.

I nagle zorientował się, że ma gdzieś otwartą torebkę, a raczej to, co w niej się znajdowało. Zresztą, gdyby ta laska nie miała ochoty przynajmniej na rozmowę, nie byłoby jej tutaj.

- Jak to możliwe? - zapytała znowu dziewczyna.

- Co?

- Że żyjesz.

- Wejdz - rzekł i odsunął się, robiąc przejście.

- Nie ruszaj się!

- Przecież nie będziemy, tak rozmawiać.

- Właśnie, że będziemy. Chcę wiedzieć, czy jeśli teraz znowu użyję kuli, będziesz dalej żył? Tam, nad kościelnymi schodami, wciąż jeszcze migocze twój cień, a ty chodzisz po mieście, jakby nic się nie stało. Chcę wiedzieć, jak to robisz, do cholery?!

- Powiem ci - rzekł Iglesjas, z przyjemnością obserwując uczucia zmieniające się na jej twarzy. - Pokażę ci dom czarodzieja, ale w zamian chcę usłyszeć twoją historię.

Patrzyła na niego nieufnie.

- Jaką historię?

- Co to za magiczna torebka? Kim jest szczeniak, dla którego tak się angażujesz. Może coś jeszcze.

Opowieść za opowieść. To uczciwa wymiana, nie sądzisz?

- Nie sądzę.

Mijały milczące sekundy, aż wreszcie się zdecydowała:

- No; dobra, wejdę.

Gdy tylko opuściła nieco torebkę i postąpiła krok do przodu, rzucił się na nią, ruchem tak szybkim, że nie zdążyła nawet drgnąć. Nie było to takie trudne, znajdowała się zaledwie metr przed nim.

Upadli. Przygniótł ją własnym ciałem, zablokował ręce. Torebka poleciała gdzieś w kąt. Jego twarz znajdowała się kilka centymetrów nad twarzą dziewczyny, patrzył wprost w ciemne oczy, w których niepodzielnie zapanowała wściekłość; przyśpieszony oddech muskał go niczym delikatny powiew wiatru. Pożądanie, obecne gdzieś w pobliżu, szarpiało się na wolność, wtargnęło gwałtownie do umysłu Mario Iglesjas. Ścisnął mocniej dziewczynę, prawą ręką sięgnął w dół, za majtki pod krótką sukienką. Szarpnęła się.

- Decray! - wrzasnęła. Iglesjas zamarł.

- A co myślisz?! - krzyczała, potrząsając energicznie głową. - Skąd srebrne kule w mojej torebce? Skąd, idioto?!

Zwolnił uścisk. Stoczył się na podłogę. Leżeli obok siebie, dysząc jak wyrzucone przez fale na morską plażę ryby.

- Jesteś taka jak ja - powiedział Iglesjas. Usiadła.

- Nie!

- Nie?

- Nie. Nie jestem morderczynią.

- Wampirem.

- Nie jestem.

- Jasne! Domyślałam się, że Decray mówił ci o mnie?

- Oczywiście. Ale nie wiedziałam, że to ty, dopóki wtedy, przed śmiercią, nie zobaczyłam przemiany twoich zębów. Strzeliłam, ale przez ten ułamek sekundy, nim zniknąłeś, dostrzegłam te kły.

Iglesjas podniósł się na łokciach i usiadł.

- Nie jesteś morderczynią? - przypomniał jej słowa. - To po co ci te srebrne kule?

Zbyła go milczeniem.

- Na takich wścibskich jak ja? - próbował zgadnąć. Wzruszyła ramionami.

- Na przykład - odrzekła niechętnie. - Decray ostrzegał mnie przed tobą. Mówił, żebym uważała, aby nie wchodzić ci w drogę.

- Ten skurwysyn dał ci srebrne kule na mnie!!!

- Przecież mówię, że nie tylko.

- Ale między innymi?

- Wspomniał o takiej ewentualności. Zamrugął z zakłopotaniem oczami.

- Dlaczego?

- Moja misja jest ważniejsza od twojej zabawy. Aż zachłysnął się oddechem.

- Zabawy! - wykrzyknął. - D.L.NET wydał kupę szmalu na mój software, zapłacił gigantyczną łapówkę za przesunięcie wyroku o miesiąc, a ty to nazywasz zabawą?

Uśmiechnęła się słabo:

- Może przesadziłam. I co z tego?

- Dawno jesteś w Sieci?

- Osiem tygodni. Miałam prawie czterdzieści lat, teraz, jak widzisz, znacznie mniej. Przynajmniej to jedno mi się podoba.

- Co to za misja? - zapytał Iglesias.

- Nie twój interes.

- No to czyj? - nalegał. - Decraya?

Dziewczyna zastanawiała się. Pozbierała się z podłogi, a Mario czujnie zerwał się wraz z nią. Patrzył nagle.

- Decraya - zgodziła się nieoczekiwanie. - I kilku innych.

- Spałaś z nim, czy tylko z tym kimś innym?

Jesteś idiotką?

- Pomyślałem tylko, że byłaś jego kochanką, a on w rewanżu zafundował ci nowe życie. Wiem, że jesteś legalna.

- Fantastyczne - powiedziała, patrząc mu kpiąco w oczy. - Po prostu fantastyczne.

Wzruszył ramionami.

- Decray jest w D.L.NET szyczą.

- Już od trzech lat nie pracuje w firmie. Wyrzucili go za machlojki.

- Jakie machlojki?

- Oj, jakie, jakie... Różne. Na przykład za aferę z Mario Iglesiasem. Co myślisz, że akcjonariusze z uśmiechem zaakceptowali wprowadzenie do Sieci zabójcy?

- A jednak przysłałaś mnie zabić?

- To tylko jeden z wariantów, druga rada Decraya.

- A pierwsza?

- Dogadać się. Możemy pracować razem. Nie wiadomo, co teraz dzieje się tam, w realnym świecie.

Może D.L.NET już o nas wie, może jest w stanie nam przeszkodzić. Twoja pomoc może okazać się istotna.

- Czy to ma być propozycją współpracy? - Rozłożył ręce. - Przecież nawet nie wiem, o co chodzi.

- Podobam ci się, co? - raczej stwierdziła, niż zapytała. - Bardzo ci się podobam.

Przytaknęła.

- Dlaczego zmieniasz temat?

- Nie zmieniam, to ten sam temat. Decray powiedział, że będę ci się podobała. I to bardzo. Tak bardzo, że zrobisz, co zechcę.

Roześmiał się. Pobłaźliwie.

- I tak po prostu mi o tym mówisz?

- Powiedział, że to bez znaczenia. Podobno dokonali kilku sztuczek z twoim softwarem i nic nie możesz tu poradzić. Ale jeśli będę podejrzewała, że jest inaczej, to znaczy, że coś spartolili, i powinnam cię załatwić.

- Jak widzisz, nie takie to proste. Twój Decray nie powiedział ci o pewnych sprawach, nie powiedział ci, jak potrafię przeżyć likwidację softwara.

Patrzyła na niego z uśmiechem, którego nie rozumiał.

- Masz na myśli trumnę? - zapytała, unosząc w górę brwi.

Zaniemówił. Kilkakrotnie otwierał usta, nie będąc w stanie zdobyć się na replikę.

- Więc wiesz? - oprzytomniał.

- A co myślisz, że jak miałam tu wejść? „Cześć Mario, jak leci, będziemy pracować razem?”. Decray uprzedzał, że jesteś brutalny. Najpierw działasz, potem myślisz. Nie... - zaśmiała się. - Powiedział: „Działa i nawet czasem pamięta, że coś się stało”. - Spoważniała. - Albo się mylił, albo to ty się zmieniłeś - dodała. - Nie myśl, że staram się być miła, po prostu stwierdzam fakt. W każdym razie w jednym miał rację: nie potrafiłam cię upilnować. - Strzepnęła sukienkę.



- Usiądźmy na kanapie - zaproponował Iglesjas. - Jeśli sprawy mają się tak, jak twierdzisz, to i tak musisz powiedzieć mi wszystko.

Nie powiedziała wszystkiego. Nie powiedziała o sobie: dlaczego przyjęła propozycję Decraya, dlaczego z takim uporem, każdego dnia, wyczekuje w niszy kościoła, obserwując przez witraż plac z gołębiami. Dlaczego - gdy nadchodzi pięcioletni chłopiec - wybiega na schody, nie wahając się użyć broni, jeśli ktoś taki jak Mario Iglesias próbuje im przeszkodzić. Nie powiedziała mu, jak bardzo tęskni za tym malcem, jak wolno upływają dni niecierpliwego oczekiwania na następne spotkanie...

Powiedziała o tym, co było znacznie mniej istotne, lecz... ważniejsze.

Po odejściu z D.L.NETu Decray nie spoczął na laurach. Oficjalnie założył firmę produkującą wirtualne oprogramowanie, przede wszystkim gry i pakiety pornograficzne, ale była to tylko przykrywka. Nie był człowiekiem, który da się zdegradować z roli boga. Udało mu się ściągnąć z D.L.NETu kilkudziesięciu najważniejszych informatyków, i tak naprawdę to na nich opierała się jego działalność. Całkowicie nielegalna. Zrobił to, przed czym przez lata bronił D.L.NET różnymi sposobami - na przykład wynajmując Mario Iglesiasa, Włamał się do Sieci. W końcu przez te wszystkie lata jego biurko wypełniały stopy hakerskiej makulatury. Doskonałe podręczniki do nauki.

Pomysł był taki: nie stać cię na ubezpieczenie w D.L.NET, opłaty są tak ogromne, że prawie nikt nie może sobie na nie pozwolić, ale może stać cię na wycieczkę do krainy szczęśliwości?

Ludzie uwielbiają oglądać to, co nigdy nie będzie im dane.

Oczywiście Decray nie był w stanie założyć własnej Sieci. Statystyczne prognozy biznesu szacowały, że następne tego typu przedsięwzięcie będzie możliwe może za sto lat. Czyli nigdy. Koszty i wymagany potencjał umiejętności pracowników były tak nieprawdopodobnie wysokie, że praktycznie nie było miejsca dla konkurencji. Ale Decray miał coś, o czym nie wiedział nikt prócz niego. Pewien informatyk, jeden jedyny wtajemniczony w sprawę, zginął pewnego dnia w niewyjaśnionych okolicznościach. Decray miał asa, o którego postarał się przed laty, będąc jeszcze szanowanym wiceprezesem.

Dysponował wolnym oprogramowaniem.

Już zalegalizowanym, lecz nie wprowadzonym do Sieci. Oczekującym na swoją kolej, zawieszonym w niebycie, nieświadomym możliwości zaistnienia, nieświadomym niczego. Oczekującym całymi latami. Był to chłopiec, którego wadliwe geny tylko przez pięć lat potrafiły walczyć o przetrwanie. Decray twierdził, że ratuje go przed śmiercią.

Precedens, który zapewne zniszczyłby wiarygodność towarzystwa asekuracyjnego o nazwie D.L.NET, gdyby wiadomość przedostała się na zewnątrz.

Ze światem Sieci było trochę tak jak z czasem. Co minie, już za tobą, już się z tym nie skontaktujesz. To był świat oddzielny, szczelny dla wszelkiej informacji. Software znikał w nim jak kamień w studni: było oczywiste, że tam jest, ale w którym miejscu i co się z nim dzieje - nie wiadomo.

Decray wymyślił sposób przeprowadzenia kamienia przez studnię. Zawieszenia go na żyłce i wyłowienia jak ryby z wody. Tym kamieniem był wolny software - sieciowy obiekt na stałe do Sieci nie wprowadzony. Chodziło o to, by obiekt, z założenia stanowiący całość, jednak podzielić, zastępując ubytek pseudo oprogramowaniem, prymitywnym wirtualnym tworem, sprzęgniętym z Obserwatorem. Obserwator to człowiek, który chętnie płaci małą fortunę za wycieczkę do innego świata. Ponieważ część obiektu - ta, którą podmieniono - pozostaje w realnym świecie, powstaje unikatowa możliwość ściągnięcia kalekiego softwaru z powrotem.

Obserwator jest bardzo zadowolony z turystycznej wyprawy. Nie przeszkadza mu, że wędruje w ciele ułomnego dzieciaka. To, co widzi, nie jest fikcją. Dzieje się naprawdę. Naprawdę patrzy na ludzi, którzy zmarli dziesiątki, setki lat temu. Ich eden.

\* \* \*

- Zgadzasz się?

- Jestem na ciebie uwarunkowany, czyż nie? - I spytał: - Jak masz na imię?

Miała na imię Rosemary.

- Nie masz innych ubrań? - Ogarnął wzrokiem jej nogi, ledwie osłonięte krótką spódniczką.

Zaśmiała się tylko i odparła, że chciała mieć pewność, iż ją rozpozna.

- Wiem, że takie nogi zapamiętuje każdy mężczyzna. Śmiał się razem z nią. - Pewnie sądziła, że jest zabawna, ale Maria rozśmieszyła raczej sytuacja. Zastanawiał się, na ile Rosemary ma pojęcie o anfasach, przepływających przez niego, wiecznie jak woda w nurcie rzeki.

\* \* \*

- Mapa Sieci, którą dysponuje Decray, nie jest za dokładna. Jest znacznie przestarzała, pochodzi sprzed trzech lat, w związku z tym nie sposób przewidzieć dokładnie, w którym miejscu pojawi się software z turystą - mówiła Rosemary. - Wiadomo tylko, że gdzieś w mieście. Turysta ma dwa dni na dotarcie do kościoła, skąd następuje transfer wsteczny. Powrót do rzeczywistości.

- A jeśli nie? - zapytał Iglesjas.

- Musi. Software nie jest kompletny, nastąpi rozpad osobowości.

- Dlaczego właśnie kościół?

- Nie wiem. Może przypadek, a może Decray spodziewał się, jak opustoszałe jest tutaj to miejsce. I jak bardzo niezmiennie. W każdym razie to musi być to miejsce, oni tam, w starym świecie, cały czas czekają, kontrolują ten punkt. Tyle potrafią. I tylko tyle.

- Ten ksiądz... - Iglesjas zawahał się.

- Czy wie?

- Właśnie.

- Ksiądz Marek nie wie o niczym - odparła pewnie Rosemary. - Mówię mu, że czekam. Na brata.

- A gdy chłopiec nadchodzi? Wzruszyła ramionami.

- Raz poprosiłam, by zostawił nas samych. Nigdy więcej nie musiałam, to bardzo grzeczny człowiek.

- Owszem, grzeczny. - Iglesjas uśmiechnął się. - Czy mówił ci, co mu zrobiłem?

- Nie. A rozmawialiście?

- Owszem. O ile można to nazwać rozmową.

- Skrzywdziłeś go?! Pokiwał głową.

- Właściwie to nie - rzekł wbrew temu gestowi. - Ale coś próbowało. Nie ja. Coś.

- O czym ty mówisz? - popatrzyła na niego z niepokojem.

- Sam chciałbym wiedzieć - skwitował. Rosemary czekała, pewna iż usłyszy coś więcej, ale tak się nie stało.

- Nad czym myślisz? - spytała. Spojrzał na nią mrugając powiekami, wracając do rzeczywistości.

- Zastanawiam się... Jeśli Decray ostrzegał cię przede mną, jeśli jestem tak ważny, to nie mógł po prostu pokazać ci mojej fotografii?

- Pokazał - odparła.

- Przecież mnie nie rozpoznałaś? Sama mówiłaś?

- Wyglądałeś .. inaczej. Może pomylił fotografie?

Decray? Niemożliwe - zaprzeczył. - Wiesz, co? Ja chyba naprawdę wyglądałem inaczej! Wcześniej nawet do głowy mi to nie przyszło, niczego nie dostrzegałem, ale teraz wiem, że to prawda. Jak to możliwe, że nawet tego nie zauważyłem?!

\* \* \*

Stał przed otwartymi wrotami kościoła. Spoglądał na plac, gdzie gołębie podskakiwały na kamiennym bruku, a jego matryce chłoneły anfasy przechodniów. Wszystkie legalne.

Czekał na chłopca. Gdy powracał spojrzeniem do wnętrza kościoła, widział plecy Rosemary, siedzącej na skraju ławki.

- W jaki sposób ci turyści wracają? To znaczy... wprowadzasz ich do kościoła, i co? - zapytał wcześniej.

- Otwieram torebkę - powiedziała.

- Pozwolisz mi to zrobić? - zapytał. Spojrzała na niego, jakby ją uderzył. - Nie bądź idiotą, chcesz go zniszczyć?! W nikogo nie celuję!

- Zrozumiałem, że...

- Nie. Nie! Tylko rozmawiamy, przynajmniej próbujemy, bo on jest... jak robot. Nie! Raczej jak autystyczne dziecko, nie potrafię nawiązać z nim kontaktu... - przerwała.

- Po prostu siedzimy - podjęła po chwili - a ludzie Decray a, gdzieś tam, namierzają sygnał z mojego likwidatora. Namierzają przez cały czas, mapując obiekt kościoła raz za razem, odkąd żądny wrażeń turysta wdarł się w nasz świat, aż wreszcie znajdują, gdy dostatecznie długo siedzimy w jednym miejscu. Ja, chłopiec, a między nami odbezpieczony likwidator softwarów. Tylko odbezpieczony, żeby mogli zidentyfikować wiązkę, jedynie taki szaleniak jak ty mógł pomyśleć, że go uruchamiam.

Zignorował jej ton, była zdenerwowana, nie rozumiał przyczyny, ale dostrzegając skutek.

- Kim jest dla ciebie ten malec?

Milczała. Nalegał, aż jej twarz poczerwieniała; krzyknęła ze złością: - Nie twój zasrany interes! I nie patrz na mnie tak... zachłannie. Nie lubię tego.

- Przepraszam - powiedział wtedy. Naprawdę tak powiedział, choć sam nie potrafił tego pojąć.

Prawdę mówiąc, teraz, stając przed kościołem, gdy Rosemary nie patrzyła mu w oczy, gdy nie czuł jej zapachu, teraz nawet nie wierzył, że wymówił te słowa.

Nagle zobaczył chłopca. Nadchodził. Dualny software, zlepek niekompletnych obiektów, tolerowany jakimś cudem przez Sieć, Niespodziewanie twarz Iglesjasa poszarzała. Patrzył na nich, a gdzieś w nieskończonej kombinacji bitów jego psychiki dojrzewało coś, o czym przed sekundą nie miał pojęcia. Coś, co musiał zrobić. Czego zapragnął.

Już samo dojrzewanie było jak świeży powiew wiatru na wiosennej łące.

A potem złapał chłopca.

Ostrożnie sięgnął językiem do podniebienia. Obnażył wargi. Długo, bardzo długo ścisnął małą postać. Kołysał się przy tym rytmicznie, jakby nucił jakąś taneczną piosenkę. Kilkakrotnie przykładł kciuk do szyi, a potem cofał, z zastygłym uśmiechem na twarzy.

Jeszcze nie teraz. Nie teraz.

A kiedy?

Może już! Pochylił się nisko, z twarzą gładką i pogodną, jak rodzic całujący własne dziecko. A potem chłonął obraz znikającego chłopca, dzieło sztuki, obsypywane tysiącami iskier po dotknięciu czarowną różdżką. W absolutnej, chłodnej ciszy kościelnego cienia dziecięce ubranie zsunęło się na twardą posadzkę. Poczucie pełni było tak silne, że Mario nie zdążył zareagować na atak demona, który zerwał się z ławki i z ogłuszającym grzmotem ruszył wściekle na niego.

- Dlaczego?! - krzyczała Rosemary. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Ja nie wiem, zamierzał powiedzieć. To takie przyjemne. Takie przyjemne.

Ale nie powiedział nic. Nie zdążył, wpatrzony w rozwartą czeluść torebki; w czarną dziurę, wysysającą go do szczęśliwej krainy rozpaczy. Do samego piekła.

\* \* \*

Piątek.

Siedząca na kanapie Rosemary patrzy na trumnę. Trumna nie jest żadną czarną żalobną skrzynią, której wieko ukrywa zwłoki przed światem żywych. Trumna jest szczególnym miejscem na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca, miejscem, gdzie otoczenie odbija się niezliczoną ilość razy w niezliczonej ilości drobnych luster. To nie są prawdziwe lustra. Sieć ma w wzrok patrzących, jak gdyby usiłowała ukryć zawartość pionowego walca wysokości dwóch metrów i metrowej średnicy.

Nie ma czego ukrywać. Rosemary przekonała się kiedyś o tym, podejmując desperacką próbę wejścia w tę szklaną iluzję. Nic się nie wydarzyło. Po prostu wyszła z drugiej strony, jakby walec wcale nie był bryłą, lecz cienką kartką papieru. Dla niej nie miał wymiaru. To była trumna Mario Iglesjasa. Szczerze wątpiła, czy w jakimkolwiek innym miejscu Sieci ktoś jeszcze posiada swoją trumnę. Miała nadzieję, że nie. Rosemary czekała. Wiedziała, że jest jeszcze za wcześnie, ale nie potrafiła robić nic innego, gdy niewiele już minut zostało. Czekala tak w każdy piątek, od wielu lat. Zawsze tak samo.

Każdego piątku z trumny wychodził Mario Iglesjas. Zdumiony jej widokiem, uśmiechał się niepewnie, a ona pokazywała mu kalendarz. Gdy pytał ją, czy nie posiada innych ubrań, śmiała się i mówiła, że chce mieć pewność, iż ją rozpozna.

- Wiem, że takie nogi zapamiętuje każdy mężczyzna.

Śmiał się razem z nią. Potem rozmawiali. Mówiła, że sama wszystko mu opowie. Nie dopuszczała do Przeglądarki, co nie było trudne, gdyż zauroczony jej obecnością, zdawał się wcale o tym nie pamiętać.

W pewnej chwili szła do kuchni, gdzie w szufladzie ze Sztuściami leżała jej torebka. Wyjmowała ją powoli, z jakąś masochistyczną nadzieją, że może w tym momencie wejdzie Iglesjas i zapyta, co się dzieje, lecz on nigdy tego nie robił. Siadała więc na krześle, otwierała torebkę i wołała go. Czasem przychodził od razu, czasem trochę to trwało, zawsze jednak stawiał się nie tknięty żadnym przeczcuciem, zawsze patrzył na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, właściwie do końca nic nie rozumiejąc, choć kuchnia lśniła od tęczy blasków, niematerialnych drobin baśniowych fajerwerków: śladów setek jego śmierci. Czasem Rosemary wydawało się, że w końcu kiedyś zabraknie na to wszystko miejsca, że kuchenne ściany rozleca się jak szklana bańka, do której wtłoczono zbyt wiele powietrza.

Potem wracała przed kościół. Nienawidziła człowieka o nazwisku Decray, lecz równocześnie mu wybaczyła. Nienawidziła, gdyż to on był winien jej cierpienia. Wybaczyła zaś w podzięcie za cud - za ponowne wprowadzenie do Sieci pewnego pięcioletniego chłopca, gdy wydawało się, że wszystko już stracone, gdy tak niewybaczalnie pomyliła się co do Mario Iglesjasa.

Nigdy nie zapomni tej cudownej chwili, kiedy z resztką zdesperowanej nadziei wyczekiwała na placu i nagle dostrzegła ruch wśród gołębi. To on je przepłaskał. Jej chłopiec.

Żył.

Wciąż taki sam, niekomunikatywny, autystyczny, niedostępny. Ale żył. Nie wiedziała, czy to Mario Iglesjas spóźnił się wtedy, a software ułamek sekundy wcześniej został przejęty do starego świata, czy też może Decray znalazł sposób jego odnowy. Nie miała możliwości dowiedzieć się tego.

Teraz w każdy piątek wracała do mieszkania na dwudziestym trzecim piętrze. Najchętniej zniszczyłaby trumnę i miałaby spokój raz na zawsze, ale niestety, nie było to możliwe. Trumna również była duchem. Pozostawała tylko srebrna kula. Srebrna tza dla Vampira.

**Krzysztof Kochański**